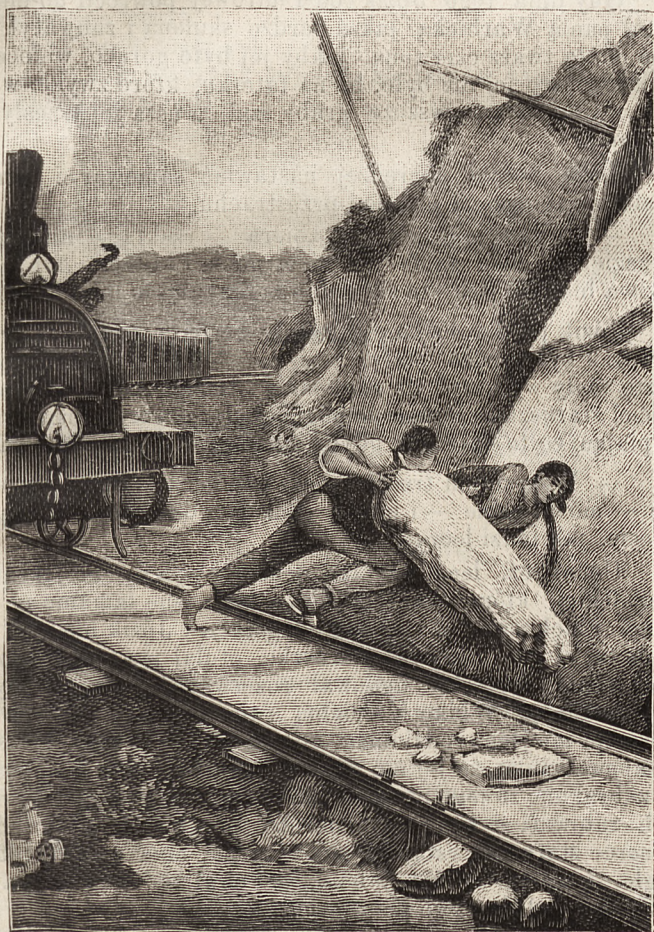




# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## ZAŻEGNANA KATASTROFA.

Głębokim wąwozem w górskiej okolicy, wśród piętrzących się skał, pędzi pociąg. Liczni podróżni, siedzący wygodnie w wagonach, z przyjemnością przypatrują się malowniczej okolicy, rozmawiając między sobą i nie myśląc wcale o tem, że może im grozić jakieś niebezpieczeństwo.

Tuż przy linii kolejowej przy samym zakręcie wąwozu siedzi sobie para górali: brat i siostra, zabawiając małą sio-

stryczkę dużą, niezgrabną lalką, którą sami jej zrobili. Czekają na przejście pociągu i gotują się powitać go wesołymi okrzykami.

Już słyszą szum z dala, wnet z poza góry wysunie się szybko buchająca parą lokomotywa.

Nagle dzieje się rzecz straszna. Z wierzchołka skał obrywa się kilka ciężkich brył i jedna pada na same relsy.

Rodzeństwo w jednej chwili spostrzegło cały ogrom niebezpieczeństw: nadjeżdżający pociąg uderzy o bryłę, wy kolei sięgi roztraska.

W mgnieniu oka, nie porozumiawszy się nawet słowem, zamiast krzycheć lub zawodzić bez pożytku, rzucają się na linię i z największym wysiłkiem spychają na bok odłam skały przed samym pociągiem.

Niepomni na niebezpieczeństwo, przytomnością swoją i odwagą ocalają życie kilkudziesięciu ludziom.

Tę właśnie wzruszającą chwilę przedstawia nasza rycina.

## Powróciła.

Słysząc śpiewy, świągot, krzyki,  
Ciągną ptasząt roje,  
A z błękitów jasne słońko  
Sieje blaski swoje.

Słodki, ciepły wiatru powiew  
Tchnął gdzieś z ziemi końca,  
Drobne trawki główki wznoszą  
Do słońca, do słońca.

I ogarnia cię dokoła  
Woń świeża i miła,  
Mówi do cię ziemia, niebo:  
— Wiosna powróciła.

I. W.

## DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

— Skończyło się na tem, że Józik za miesiąc służby stał cztery ruble, do których Plaksa dołożył swój dziura i bardzo zużyty płaszcz, Aligant trzy krawaty, a Wesołowski dwie koszule, które jeszcze nosił w czwartej klasie szkołach, a że z nich wyrósł, leżały więc na dnie w jego szuflce.

Józik odniósł wszystko pani Warbickiej, która powiedziała, że za pieniądze kupi drzewa, koszule zaś Józik może. Krawaty i płaszcz sprzedała tandeciarzowi i wzięła nie dwa ruble bez pięciu groszy.

Nadeszła zima. Często, gdy Józik biegł ciemnym jezdnią rankiem na ulicę Wilczą, dygotał i dzwonił zębami, bo mroźny wiatr do kości przejmował, a czasem płatki śniegu, niesione przez zawieruchę, wpadały mu za kołnierz.

Mieszkanie pani Warbickiej było istotnie bardzo zimne, choć go nie było można. Staruszka czasem po całych godzinach chodziła w starem, wyszarzanem futerku, trzewikach drewnianych, a jeszcze było jej zimno. W nocy nakrywała się kołdrą, czem tylko mogła, i rozmyślała jak to w kościelnej Wólce było ciepło w całym domu, gdy się we wszystkich piecach przeapało. Józik położywszy się wieczorem, przed zaśnięciem, rozmyślał o tem jak to dorósłszy, pracować będzie z wytechnienia i musi koniecznie tyle zarabiać, żeby pani Warbicka mieszkała w ciepłym pokoiku, i nie potrzebowała odzić w mieszkaniu w futrze, ale jak to jeszcze do tego dążyć? Przy Boskiej pomocy przyjdzie i to.

Józik na świecie całym miał tylko tę swoją dobrą, kochaną opiekunkę, która też za nim przepadała. Piotrowej raz już nie widywał wcale, bo nie miał czasu odwiedzać znajomych; o Walku nie też nie wiedział. Aż tu jedynego razu, gdy wieczorem wracał z ulicy Wilczej, zobaczył dwóch policyantów, prowadzących jakiegoś chłopca, który oszołomiony płakał i prosił, żeby go puszczono. Policyanci nie nie powiadali. Józikowi się wydało, że słyszy głos Walka, bliźli się więc i ujrzał swego znajomego; Walek poznał go i zawołał więc:

— Idź do matki i daj znać.

— Co mam dać znać?

— Że mię zabrali; powiadają, że ukradł futro z przedkoju jednych państwa, a ja sobie tylko tego futra pożyczym, bo mi było zimno.

Józikowi było strasznie wstyd, że się zna z tym złodziejem, ale mu żal było Piotrowej, więc skoczył do niej i wszystko opowiedział.

A biedna Piotrowa jak nie zaczęła lamentować! Aż się rce krajało słuchać jej skarg i żalów. Życie jej się przyżyło z tym synem niegodziwym, prosiła tylko Pana Boga, by ją już zabral z tego świata.

Józik stał na środku izby, słuchał co Piotrowa mówiła, jak mu jej było żal, że i on z nią płakać zaczął, aż nagle, z ręką na głowie, rzuciła się Józikowi na szyję.

— O, czemuż mi Pan Bóg nie dał takiego dziecka, jak ty, — wołała, całując go i oblewając twarz jego obfitemi łzami.

— Musiałam ciężko nagrzeszyć, kiedy mi Pan Bóg takie skaranie!

Lecz jakoś nie wspominała wcale o tem, że Józikowi ona winna za różne graty, które po śmierci Marcina kupiła, a za niego i pieniądze oddać obiecywała. Józik parę razy się odwoływał, Piotrowa obiecywała, ale coraz mniej zakładała się, że odda, a połowa kupionych bez pieniędzy rzeczy Marcinie poszła już u niej w zapomnienie. Józik pamię-

tał dobrze o wszystkim, tylko patrząc na płaczącą Piotrową, nie śmiał się upominać, boby się jeszcze bardziej zmartwiła. Pocałował tylko biedną kobietę w rękę i powiedział:

— Niech się pani Piotrowa tak strasznie nie martwi. Może się te Walek poprawi i będzie jeszcze porządnym człowiekiem.

— Gdzie się tam poprawi! Już od małości taki był, że choć się go głaskało, to gryzł i nijakiej życzliwości dla nikogo w nim nie było! Jużem z nim próbowała na różne sposoby, dobrocią i złością... To biłam ci go, że mu mało kości nie połamała, to schlebiałam mu jak pocziwemu dziecku. Wszystko groch o ścianę! Wyśliźnie ci się zawsze jak wąż, wyklamie, wykreje i szukaj wiatru w polu! Marcinowi i babce to tam łatwiej było ciebie wychować, coś był zawsze jak z wosku i co cię wszędzie można było zaprowadzić na nitec pajęczej, kiedy na Walka to i powroza było mało!

Józik wysłuchiwał skarg Piotrowej, bo sobie myślał, że się może kobiecie lżej na sercu zrobi, gdy się przed życzliwym człowiekiem poskarżyć będzie mogła. Ale w końcu musiał ją pożegnać, bo nie miał czasu i wracać trzeba było do domu. Wiedział, że pani Warbicka nie lubiła gdy powracał późno bo zawsze się bała, by mu się nie przytrafił jakiś wypadek. Zawsze też drżała o to, by się Józik nie rozleniwił i nie wyszedł na takiego próżniaka, których zawsze pełno przy każdym zbiegowisku i którym ulica i włóczęga tylko na myśli.

Gdy dnia tego Józik od Piotrowej powrócił do domu, zastał panią Warbicką jakoś bardzo skuloną i zauważył, że choć miała twarz czerwoną, jakby jej było gorąco, widocznie jednak gorąco jej nie było, bo na futerku, które zwykle w pokoju nosiła, miała jeszcze gruby szal, a usta jej trzęsły się od zimna.

Józik począł copędzej nastawiać samowar i patrzył na staruszkę oczami pełnemi przestachu.

— Pewno mię katar rozbiera — rzekła — musiałam się zaziębić, choć sama nie wiem gdzie i kiedy. A to prawdziwa bieda! Jeszcze się gotowa przyplątać jaka choroba.

Józik prędko łóżko jej posłał, herbatę zrobił, a że samowarek był bardzo mały, więc sam herbaty nie pił, tylko resztę wody wytoczył do kamiennej flaszki, którą ogrzewał pościel staruszką. Potem pomógł jej się rozebrać i rozmyślał usypiając, co to on zrobi, gdyby się naprawdę rozchorowała:

— Wszystkich trzech moich panów z Wilczej sprawy — mówił sobie — i muszę chorobie dać radę. Uczą się przecie, jak ludzi leczyć.

Usnął też, lecz wkrótce w nocy obudziły go jęki pani Warbickiej, która skarżyła się na nieznośne łamanie po kościach i ziębienie, aż jej usta dygotały. Józik nie spał już wcale tej nocy. Okrywał staruszkę, otulał ją, zrobił jeszcze raz herbaty, wreszcie usiłował rozzerwać jej smutne myśli, przypominając Wólkę Kościelną i to wszystko co ona mu o swoim miejscu rodzinnym opowiadała. Potem pocieszał ją zapewnieniem, że jej ani doktorów ani lekarstw w chorobie nie zabraknie, że jego panowie przecie na to się uczą, żeby chorych ratować, i że z jej chorobą prędko sobie poradzą. W serce staruszki wstąpiła jakaś otucha, choć usta dygotały ciągle, i czasem syknęła z bólu, ale chwilami uśmiechała się do Józika i gładziła go po głowie.

Gdy nakoniec świtać zaczęło, Józik pożegnał chorą i zapewniwszy, że powróci jak tylko będzie mógł najprędzej, biegł tak spiesźnie na Wilczą, że stróża zamiatający ulicę, aż się za nim oglądali, a jakaś kobiecina wiejska idąca z koszykiem, którą Józik nieuważnie potrącił, obejrzała się za nim i na głos zawołała:

— No, no, a do tego chłopaka co przystąpiło?

Józik wpadł do mieszkania swoich panów, poczyścił odzienie i buty, przyniósł wody a gdy przyszła godzina budzenia, zabrał się do tej czynności tak zamaszyście, jak nigdy. Ale Wesołowski poprzedniego dnia bardzo późno się położył i walczył z Józikiem zajadłe, więc Józik zrozpaczony zawołał:

— Panie! panią Warbickę trzeba ratować, bo bardzo chora!

Na ten wykrzyknik Wesołowski zerwał się na równe nogi.

— Kogo trzeba ratować? — zapytał rozespany przecierając oczy.

Józik aż się głośno roześmiał i pomyślał:

— A to na niego i ten sposób dobry! Tylko mu powiedzieć, że komuś coś winien, albo, że ktoś potrzebuje ratunku!

— Pani Warbicka, to ta staruszka, która mnie przegarnęła — rzekł głośno.

— A cóż jej jest?

— Trzęsie się, usta jej dygocą...

— A gorączkę ma?

— Nie wiem, proszę pana.

— A toś osieł! Nie wie czy chora ma gorączkę!

— Jużci nie wiem, bom się tego nie uczył.

— A prawda. Nie uczyłeś się tego. I ja choć się tego już piąty rok uczę, nie zawsze to wiem. Trzeba żebyś wezwał doktora, to założy termometr.

Józik się zmieszał.

— Doktora? — zapytał. — Ja myślałem, że panowie będą łaskawi...

— Co myślałeś, że tak w trzech z Płaksą i Aligantem złożymy konsylium nad twoją panią? Ależ my nie mamy prawa nikogo leczyć.

— Przecie piąty rok...

— A tak, piąty rok kujemy, ale jeszcze nam wszystkiego w głowę nie włożyli.

— Józik załamał ręce.

— Cóż ja teraz pocznę?

— Pójdiesz po doktora.

— Kiedy... kiedy... u mojej pani bieda... często nie bardzo jest co jeść... doktorowi trzeba by pewno zapłacić...

(d. c. n.)

## W OTCHŁANIACH MORSKICH.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

W wielkich głębinach znaleziono dziwne zwierzęta, które stanowią niejako formę przejściową pomiędzy rakami. Zwierzęta te znane są w zoologii pod nazwą *kikutnic* (*Pyenogenidae*); drobne i wysmukłe ich ciało ma cztery pary niezwykle długich nóg, tak, iż wydaje się, że całe zwierzę jedynie z nóg się składa. Kikutnice żyją wprawdzie w morzu i u wybrzeży, wolno pełzając po wodorostach; ale u wybrzeży są one drobnych rozmiarów, miewają zaledwie centymetr długości. W otchłaniach zaś żyją kikutnice olbrzymie, gdyż z wyciągniętymi nogami miewają po 40 centymetrów w średnicy, jak np. *Colossendeis Titan* (patrz fig. 162 Nr. 7) żółty i przezroczysty, jak bursztyn. Przypomina on nieco owe pajaki na długich i cienkich nogach, zwane kosarzami, głowa jego zakończona jest długą, skrzywioną trąbką.

Mniejszym i o wiele brzydszym od poprzedniego jest *Nymphon robustum*, wyobrażony na fig. 149. Kikutnice znajdowano w Atlantyku aż do 3000 metrów głębokości.

Robaki, mięczaki, ośłonnice. Robaki i mięczaki są to dwa typy zwierzęce, bezwątpienia najwięcej rozpowszechnione i najbogatsze w gatunki w faunie pobrzeżnej. Odwrotnie dzieje się w głębinach morskich, jeżeli wnioskować mamy z tego co się przyniosła; dragowania dostarczyły bowiem bardzo mało robaków głębinowych. Jednakże Challenger

wydobyl z głębin piękne gatunki pierścienic, które żyły tam w zbudowanych przez się rurkach, ale ponieważ w otchłaniach morskich niema piasku, robaki budują sobie przeto rurki z mułu i wapna. Pierścienice znajdowano aż do 6000 metrów głębokości.

Mięczaki także nie lubią żyć w głębinach morskich, znaleziono ich tam niewiele, a chociaż się przyniosła nowe, nieznane dotąd gatunki, jednakże budową swą mało różnią się one od mięczaków pobrzeżnych. Życie w głębinach nie sprawiło na mięczakach tak wielkich zmian, jak na szkarłupniach, rakach i rybach. Jednakże zauważyć trzeba, że skutkiem przebywania w czarnych otchłaniach liczne gatunki mięczaków, wzrok swój straciły.

Ponieważ w głębinach niema głazów, brak przeto i tych gatunków mięczaków, które osiadają na głazach, jak ostryga, przydacznia i inne. Najliczniejsze są w otchłaniach dwuskorupne mięczaki, które szybko pływają za pomocą małego otwierania i zamykania swych skorup, tak czyni *Lima*, *Recten* i t. p.

Ślimaki także są mało liczne w głębinach i żyją tu jedynie drobne gatunki, a muszelki ich są cienkie, kruche i niewypół przezroczyste. Że ślimaki nie lubią głębin morskich, wiadać z tego, że liczba gatunków i osobników staje się coraz mniejszą w miarę wzrastania głębokości morza.

Liczne gatunki ślimaków u wybrzeży żywią się roślinami, w głębinach zaś pokrewne im gatunki jedzą muł, w którym znajduje się mnóstwo drobniutkich kulek, zwanych *kokolitami* (*Coccolithes*). Kulki te opadły zapewne z powierzchni, gdyż pływają one w wielkiej ilości na powierzchni mórz międzyzworotnikowych, zwłaszcza około wybrzeży; tworzą one okrągłe gromadki, zwane *kokosferami* (*Coccospheres*, fig. 150); przypuszczają, że są to niższe roślinki (olgi). Kokolity dostarczają pokarmu nietylko ślimakom, ale także radyolaryom, salpom i innym zwierzętom żyjącym na powierzchni morza.

Dodajmy na koniec, że w głębinach rozpowszechnione są ośłonnice, mające postać gruszek, osadzonych na długiej szyjce, jak np. szypulnik (*Boltenia pedunculata* fig. 151). Są one dosyć rzadkie na północnej półkuli, oraz w strefie równikowej, a natomiast nader obfite w umiarkowanej strefie na południowej półkuli; znajdują je tu wszędzie, począwszy od wybrzeży, aż do otchłani mających po 7000 metrów głębokości.

(d. c. n.)

## Kościół św. Stefana w Wiedniu.

W drugiej połowie wieków średnich, a mianowicie w końcu XII wieku, architekci, którzy wznosili kościoły, zaczęli zastępować łuki okrągłe i półkuliste, cechujące dawny styl romański, łukami ostreimi. Wynalazek ten, pozwalający wznosić sklepienia wyższe i lżejsze, sprawił przewrót w budownictwie i dał początek nowemu stylowi, który został nazwany przez Włochów stylem gotyckim, jako pochodzącym nie od nich, lecz od barbarzyńców Gotów, którzy ongi zaleli Italię.

Styl gotycki swoją wspaniałością i powagą tak przypadł do usposobienia ludom Europy środkowej, że od XIII-go do XVI w., był wyłącznie używany w Anglii, Francji i Niemczech, skąd z różnemi odmianami, wywołanemi w części brakiem odpowiedniego materiału budowlanego, przeszedł do Polski.

Najpiękniejsze kościoły średniowieczne: Notre-Dame, to jest Matki Boskiej w Paryżu, katedry w Reims, Beauvais, Kolonii, Strasburgu, Ulmie, kościół Maryacki w Krakowie i wiele innych — wszystkie są w stylu gotyckim.

Niepoślednie miejsce między nimi tak przez swą wspaniałość i ornamentację, jak i przez swe rozmiary, zajmuje

kościół św. Stefana w Wiedniu, którego budowa trwała od 1300 do 1510 roku. Długość jego wynosi 108 metrów, wysokość naw 27 metrów. Posiada przytem wyniosłą wieżę wysokości 136 metrów, na szczyt której prowadzą schody o 533 stopniach.

Cały kościół wewnątrz i zewnątrz pokrywają kamienne rzeźby, a malowane okna podnoszą jeszcze wspaniałą powagę wnętrza, gdzie trzy sklepienie nawy podłużne i czwarta poprzeczna, wspierają się na licznych, wysmukłych kolumnach. W kościele znajduje się sarkofag cesarza Fryderyka III-go zmarłego w r. 1493; tam to również we wrześniu 1683 r. król Jan Sobieski dziękował Bogu za odsiecz Wiednia i wiekopomne zwycięstwo nad Turkami.

Kościół św. Stefana znajduje się w starej dzielnicy, w samym środku miasta, na niewielkim placu tegoż nazwania. Wieża, którą zbliżka trudno objąć wzrokiem, najwspanialej się przedstawia z oddali, ze wzgórza Kahlenbergu, gdy wysmukła, niby strzała, mierząca w niebo, góruje nad starym, a rozległym grodem.



Fig. 149. Nymphon. Pająk morski.

## Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

(Dalszy ciąg)

Około połowy XVIII wieku, zawiązało się więc w Pensylwanii stowarzyszenie Abolicjonistów, do którego należał sławny uczony Franklin. *Abolir* znaczy znieść, obalić; chciano więc znieść niewolnictwo i tysiące serc szlachetnych poświęciło dla tego celu pracę całego życia.

W parlamencie angielskim nie ustawała odtąd walka w obronie sprawiedliwości. Pierwsi wszczęli ją Sidmouth i Wellesley w 1783 r. a prowadził dalej Wilberforce. Był on kolegą uniwersyteckim sławnego ministra Pitta, i z jego pomocą starał się zyskiwać współczucie dla nieszczęśliwych niewolników.

Pierwsze zwycięstwo odniósł w 1808 r., gdyż ogłoszono wówczas zakaz handlu niewolnikami w koloniach angielskich. Tryumf ten częściowy dodał odwagi dzielnemu obrońcy uci-

śnionych, i jemu też przypisać należy, że Francya wraz z Hiszpanią zobowiązały się na kongresie wiedeńskim w r. 1815 walczyć z obrzydłym targiem.

Aż nadszedł dzień zupełnego tryumfu; 29 lipca 1833 r. uchwalono w Anglii oswobodzenie wszystkich niewolników, jacy pracowali w zamorskich jej koloniach, a liczba tych nieszczęśliwych wynosiła 640,000.

Sześćset czterdzieści tysięcy ludzi odzyskiwało dostojęństwo swoje, stawało się wolnymi i Wilberforce dożył tej radosnej chwili. Dożył, ale nie przeżył tej radości, bo pękło serce starca, który umiał walczyć wytrwale za dobrą sprawę. Cześć jemu i jego następcom, gdyż wyswobodzenie niewolników wielu jeszcze potrzebowało i potrzebuje szermierzy.

Szermierzami tymi stała się Anglia i Francya; postanowiły one ścigać na morzach i karać kupców niewolnikami, bowiem wstrętny handel trwał wciąż, dostarczając Murzynów Stanom Zjednoczonym Ameryki północnej, gdzie niewolnictwo czarnych, jako stan dziedziczny, trwało w najlepsze.

Abolicjoniści nie ustawali także w zabiegach. Na czele ich stał człowiek dzielnego ducha, zwał się on Garryson.



Fig. 150. Kokolity w gromadec.



Fig. 151. Boltenia pedunculata (Szypułnik).

Chcąc zdławić zło w samym jego ognisku, przeniósł się z północy do południowych stanów, i rozpoczął walkę z potężnym stronnictwem posiadaczy plantacji, a więc właścicieli olbrzymiej liczby czarnych niewolników,

W roku 1832 utworzył związek, do którego na początek stanęło tylko 12-tu najodważniejszych działaczy. Plantatorowie rozpedzili kijami pierwsze zebranie abolicjonistów, popalili ich domy, a za głowę Garrysona, który się musiał ukrywać, obiecali 5000 dolarów nagrody.

On jednak nie stracił odwagi, wrócił na północ, żeby w dzienniku *Liberatów*, założonym przez abolicjonistów, nawoływać współobywateli do walki z okrucieństwem.

Bo los czarnych stał się teraz gorszym niż kiedykolwiek. Zapotrzebowanie towarów kolonialnych, jak kawa, kakao, bawełna i innych rosło w Europie, a przywóz Murzynów, koniecznych do uprawy plantacji, utrudniano, gdyż statki angielskie ścigały z nieubłaganą surowością handlarzy żywego towaru.

Sprowadzanie nowych niewolników z Afryki stawało się



Kościół św. Stefana w Wiedniu.

coraz trudniejszym, ale też przynosiło tem więcej korzyści. Skwapliwie starano się o pomnożenie liczby ofiar, przeznaczonych na sprzedaż, zakładano w tym celu tak zwane hodo-  
wle niewolników, do których porywano gwałtem dzieci. Dzieci znalezione oddawane tam były bez względu nawet na pochodzenie; wysyłano wreszcie umysł nad wynajdywaniem sposobów przywożenia Murzynów z Afryki.

Stan niewolników w Ameryce był okropny, tem bardziej, że było między nimi wielu mulatów i nawet białych, wykształconych i ucywilizowanych, którzy w skutek tego, że mieli w rodzinie jakiegoś Murzyna, musieli znosić ciężkie jarzmo.

Pozbawiano ich nawet pociech, jakie daje religia, zaledwie dziesiąta część niewolników była dopuszczana do kościołów; w wielu Stanach zabraniano im pod karą plag słuchania kazań. Zakazywano też bardzo surowo nauki czytania i pisania. W 1829 r. w Luizjanie, prawo skazywało na różgi posiadającego elementarz, a uczącego, jeśli nim był biały, na rok więzienia lub 100 dolarów kary.

Z jakim okrucieństwem ścigali kupcy i właściciele zbiegły swój towar mamy dowód w tem, że wytresowano osobny gatunek psów, które umiały wybornie węszyć i tropić uciekających niewolników, schwytanym zaś wyrwano cztery przednie zęby, aby tem łatwiej było odszukać krnąbrnego, gdyby poraz drugi próbował odzyskać wolność. Bo wielu nieszczęśliwych, z narażeniem życia zbiegało do Kanady, szukać opieki angielskiego rządu. To też dzienniki w Stanach, sąsiadujących z posiadłościami brytańskimi, przepełnione były ogłoszeniami o uciekających — zupełnie tak jak dziś w kuryerach oznajmiamy o zaginieniu psa.

Przytaczam następujące ogłoszenie:

„Sto dolarów nagrody, kto odprowadzi Murzyna Edmunda Kennedy; ma włosy proste, a cerę tak białą, że powszechnie brany był za wolnego obywatela.

Bonderson Bowles. Richmond w Wirginii.”

Doktor Cliffe, Amerykanin, tak opisuje przewóz niewolników z Afryki, a wierzyć mu można, gdyż jak wielu jego kolegów, był obecny przy wysadzaniu na ląd żywego towaru, jeśli udało się handlarzowi uniknąć pościgu i dobić pomyslnie do brzegu.

„Niewolnicy, pisze doktor, są zamknięci w ukrytej, a tak ciasnej kajucie, że cały czas podróży leżeć muszą bez ruchu. Kajuta ma półtorej stopy wysokości i takich szuflad bywa trzy jedna nad drugą, nawet dziecko nie mogłoby tam sięść, tem więcej ludzie dorośli, Ci leżeć muszą, a leżąc przez dwa miesiące podróży na gołych deskach. Nie chcą zabierać dużej ilości materyałów spożywczych, a zwłaszcza wody, która mogłaby ściągnąć uwagę Anglików, rewidujących statek, handlarze wydzielają jej niewolnikom po jednej filiżance na trzy dni.”

„Nikt nie może sobie wyobrazić zaduchu, jaki wydaje to nagromadzenie ciał ludzkich na tak małej przestrzeni; to pewna, kończy doktor Cliffe, że biały udusiłby się niechybnie w tej atmosferze.”

Dusiło się też i umierało wielu Murzynów, ale cena ich w Stanach południowych, oraz na Kubie i w Brazylii, była tak wysoka, że opłacała najniebezpieczniejsze wyprawy.

Nie chcę nużyć was dłuższem opisywaniem wstrętnych szczegółów dotyczących historii niewolnictwa. Usiłowania abolicjonistów obudziły w społeczeństwie amerykańskiem poczucie ciężającej na niem hańby; odtąd szybkim krokiem postępowała naprzód sprawa wyswobodzenia Murzynów. Chwała dokonania wielkiego dzieła przypadła w udziale prezydentowi Stanów Zjednoczonych Lincolnowi. Dzięki jego wpływom ogłoszono prawo o oswobodzeniu czarnych; wywołało ono jednak wojnę domową, gdyż Stany południowe uparcie broniły niewolnictwa, sądząc, że bogate ich plantacje zrujnowane zostaną przez brak robotnika. Przekonali się jednak z czasem, o ile lepiej pracuje człowiek wolny od nieszczęśliwego jeńca, który wie, że jest tylko zwierzęciem roboczem i że jego usiłowania, nie przyniosą mu żadnej korzyści.

(d. n.)

# NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

## XII.

Gdy Fogelfeder doniósł królowej o śmierci kasztelanki i o niebezpiecznej chorobie siostry, zrobił się na dworze okropny *larum*.

— Zarazę mi zwieźli, trupami miasto zasłali! naumyślnie to zrobili! — wołała, nie miarkująca swych wyrazów i swego gniewu Bona.

— Wypędzić z miasta wszystkie te dzieciaki, które nie wiedzieć po co ściągnięto.

I wydawała ku temu rozkazy, które stary król musiał cofać i łagodzić, nie chcąc wywołać oburzenia i niechęci tych, którzy z taką serdecznością i oddaniem się na koronację jego syna przybyli.

Chciał on zjednoczyć i zespolić młode pokolenie z nowo ukoronowanym, bo tuszyl sobie, że ta młodzież zapamięta gościnne u dworu przyjęcie, zapamięta tego małego króla, z którym się na koronacji bawiła i w przyszłości będzie dlań obronną prawicą, a dla kraju chlubą i podporą w złej czy dobrej doli.

Jeden więc rozkaz nierozważny, jeden wyraz wyrzucony przez królowę mógł popsuć wszelkie nadzieje co do trwałości panowania i spokoju przyszłych rządów Zygmunta Augusta. Ten bowiem doszedłszy do lat, miał swoje rządy oprzeć na tych, którzy wzrastając z nim razem, z nim też razem mieli stanąć do czynu.

Tymczasem śmierć Jadwisi wywarła taki popłoch, iż mimo całego współczucia, jakie okazywano zbolełym rodzinom, każdy jak mógł najprędzej zabierał swe manatki i opuszczał miasto, nie chcąc narazić dzieci na śmierć lub chorobę.

Rozkaz więc królowej „ażeby wypędzić dzieci” był zupełnie zbyteczny, bo we dwa dni miasto zupełnie z przyjezdnych opustoszało.

Bona za to postanowiła wypędzić Kazika.

— I ten przyniesie jeszcze jakie nieszczęście, miałam przecucie, że to dom zapowietrzony, z którego samo zło na mego syna spłynie — mówiła, myśląc o kasztelanie zakroczymskim.

Lecz syn jak zwykle oparł się, zaszła znów między nim a matką bardzo gorąca sprzeczka, nawet ojciec był przyzwany jako rozjemca.

Stary jednak król łaskawy dla syna, wysłuchał wszelkich skarg i żalów a potem rzekł:

— Cóż tam Niedźwiedź może komu zawadzać! — owszem, doskonale jeździ konno i Zygmusia do tego wdroży.

I wyszedł.

Bona wzruszyła z pogardą ramionami, spojrzała za odchodzącym z najwyższą złością, rzuciła jakiś wykrzyknik i wzięła się do innej taktyki.

Nie mogąc nic zrobić rozkazem, poczęła syna błagać, obiecywać rozmaite przyjemności: wyjazd z ochmistrem do Wilna, przeróżne zabawy i pomysły, w które obfitował jej umysł zawsze ruchliwy.

— Dobrze — odrzekł Zygmunt August — pojedę do Wilna, ale i Niedźwiedź ze mną.

— Dobrze więc, Niedźwiedź zostanie, a ochmistrz zostanie oddalony! — zawołała matka.

Wiedziała bowiem, że syn jej przywiązał się do Opalińskiego, i że usunięcie ochmistra nową wywoła burzę, chciała więc choć jedno według swej woli przeprowadzić.

Chłopiec kilka chwil milczał, jakby walczył sam z sobą, potem rzekł głosem nad wiek spokojnym:

— I ochmistrz i Niedźwiedź obaj zostaną!

A ukloniwszy się, wyszedł z wielką powagą.

— Uparty jak ojciec — rzuciła za nim Bona — miarkując gniew i z trudem panując nad sobą.

Po chwili zaś dodała:

— Ale i mój charakter w nim się przebija! Zobaczymy kto zwycięży!

I zaczęła chodzić po komnacie w zamyśleniu.

Potem zaś szepnęła do siebie:

— Jednego i drugiego można przecież usunąć! Są sposoby, tylko nie zaraz, zrobiłoby to rozgłos zbyt wielki. Z Opalińskim będzie trudniej, dwóch naraz, za dużo, dobrowolnie nie pozwoli „stary”... no, i rada...

I zamyśliła się, usiadła przed rozwartą księgą, leżącą zwykle na stole i poczęła w niej czytać, przebierając białemi, pulchnymi palcami i spoglądając na nie po każdym przeczytaniu kilku wyrazów. Radziła się jak zwykle kabały.

Po chwili uderzyła w srebrne kowadełko.

Z pod stołu wyjrzał ciekawym wzrokiem Diavolo, a jednocześnie zjawił się pokojowiec, czekający zwykle na rozkazy u drzwi za oponą.

— Lekarz naszego syna! — rzuciła.

— Oho! — pomyślał sobie Diavolo. — Czy tego licha weźmie? — zapytał sam siebie.

I pilnie nadstawił ucha.

Niebawem wszedł Fogelfeder.

— Na jaką chorobę zmarła kasztelanica? — spytała Bona głosem miękkim, jakby współczującym.

— Była to gorączka szkarłatna — odrzekł młody lekarz.

— A siostra zmarłej?

— Ma też samą chorobę.

— Umrze?

— Wszystko w ręku Boga, lecz o ile mnie nauka nie myli, ma się ku lepszemu — odrzekł młody lekarz, nie mogąc zmiarkować, do czego prowadzą te pytania.

— Czy z takiej choroby się wychodzi?

— Jeżeli niema żadnych innych komplikacji i nie zepsuje się krew, można chorobę przetrzymać.

— Taki Niedźwiedź mógł być się zarazić?...

— O ile mi wiadomo, młodzieniec, zwany Niedźwiedziem, był tam bardzo krótko i to zaraz z początku choroby, kiedy gorączka jeszcze nie wystąpiła; nie widział też chorych — odrzekł uspokajająco, sądząc, iż królowej chodzi czy nie zachwycił zarazy i nie przyniósł na zamek.

Chwila była milczenia; Fogelfeder myślał już, że rozmowa skończona, złożył należny ukłon i zabierał się do wyjścia.

— Jak wygląda umierający na taką gorączkę? — spytała nagle Bona.

— Twarz i ciało ma czerwone, rozpalone, miejscami plamy sine.

— Plamy sine... — powtórzyła Bona.

Szeptu jej lekarz nie mógł słyszeć, lecz z poruszenia ust sądził, iż wymówiła jakieś wyrazy w obawie o syna. I on drżał o młodego króla, tem więcej, iż uszu jego doszło, że oprócz kasztelanek, kilkoro innych dzieci zachorowało.

Ośmielił się więc rzec nie pytany:

— Choć niema najmniejszego niebezpieczeństwa, dla uspokojenia serca rodzicielskiego najjaśniejszej pani, można by wyjechać.

Bona zwróciła nań przenikliwe oczy.

— Wyjechać? wyjechać radzisz, mości lekarzu? — spytała.

— Wszelako tylko dla spokojności najjaśniejszej pani — odrzekł, kłaniając się zarumieniony swem odezwanem się młody lekarz.

— Pamiętaj, żeś doradził wyjazd! — rzuciła królowa jakimś ostrym, nagle zmienionym głosem.

Nieśmiały z natury, zatopiony w swej nauce lekarz, a nie znający zgoła wszelkich arkanów przebiegłej Włoszki,

nie wiedział, co miał sądzić o ostatnich jej wyrazach. Stał chwilę, tusząc, iż otrzyma nowy rozkaz lub pytanie; tem więcej zaś przykuty był do miejsca, iż ujrzał wyglądające z pod stołu oko Diavola, który przypatrywał mu się z szyderczym uśmiechem, mrugając przytem jednym okiem złowrogo.

Bona tymczasem nie zwracając uwagi na stojącego w pokornej postawie Fogelfedera, zadzwoniła w kowadełko, i kazała przywołać siniorgę. Lekarz wyniósł się niepostrzeżenie.

Rozmawiała coś szeptem z powiernicą, a po chwili dwór cały rozbrzmiewał wieścią, iż królowa z synem i nielicznym dworem z polecenia lekarza Fogelfedera opuszcza Kraków.

Lekarz nie wiedział czy smucić się, czy cieszyć, iż rzucena przez niego myśl, tak szybko i gorliwie została podjęta. Wszelako ze swego obowiązku i on gotował się wraz z innymi do drogi.

Myśl wyjazdu wszakże pochodziła od samej królowej; lecz do jej planów było potrzeba, ażeby nie od niej wprost wyszła. Może nawet trzeba jej było tego polecenia lekarza dla upozorowania przed małżonkiem, iż i ona jako troskliwa matka, musi jechać z synem, obawiając się, by wywieziony z nawiedzonego gorączką miasta, w drodze gdzie nie zachorzał. Król bowiem o ile chętnie pozwalał na wyjazd syna dla odciążenia go od matki, bo widział jej zły wpływ, któremu zaradzić nie mógł, o tyle był niezadowolony, ilekroć królowa wraz z synem zamek opuszczała.

Lecz obawa o jedynaka przewyższała wszelkie względy. Dziwne jednak, że ta matka tak troskliwa o syna, nie troszczyła się wcale o córki. W rozkazach wydawanych do wyjazdu, o królewnach wcale nie było mowy, niechętni zaś Bonie mówili:

— Onaby może i rada, żeby gorączka je zabrała!...

Tymczasem dwór cały wrzał pośpiechem, na wszystkich ustach zaś było:

— Królowa z młodym królem wyjeżdża z porady lekarza Fogelfedera!

I spoglądano na młodego eskulapa jako na ważną osobistość, która trzyma w ręku, jeżeli nie losy całego państwa, to przynajmniej zdrowie młodego monarchy, i w tej chwili rządzi nawet królową.

A lekarz nadworny, im więcej spoglądano nań z uszanowaniem i otaczano niebывалymi dotąd względami, tem więcej robił zdziwioną i pokorną minę, nie wiedząc nawet, czego ta cała dworska rzesza żąda i czemu go w dawnym nie pozostawia spokoju.

Co najdziwniejszem jednak było, że Niedźwiedź nie lubiony i poniewierany dotąd przez królowę, a nawet przed chwilą wypędzany, wpadł teraz nagle w jej łaski. Ciągłe go wołała do siebie, kazała wraz z synem przebywać w komnacie, darzyła nawet własnoręcznie przysmakami, które on ze złe tajonym wstrętem, choć z dworską grzecznością i przy należnymi hołdami z rąk monarchini odbierał.

Usprawiedliwiał teraz nawet przezwisko „Niedźwiedzia” w ogóle wesoły i dowcipny, w obecności królowej stawał się mrukiwym i trudno było od niego słowo jakie wyciągnąć.

I nienawidzony ochmistrz zyskał również najzupełniejsze zaufanie królowej Bony.

Karta w jej zamysłach nagle się odwróciła i Bona radziła się Opalińskiego w najdrobniejszych nawet szczegółach; nie tylko zaś odnoszących się do syna, lecz w ogóle do urzędów w podróży, o którą troskała się z najwyższą drobiazgowością, zawstydzając w tej mierze najgospodarniejszą nawet szlachciankę.

W półtorej doby niespełna dwór gotów był do wyjazdu. Królowa wraz z synem i siniorgą wsiadła do wielkiej kolebki, konno wraz z orszakem tuż przy kolebce jechał nieodstępny teraz Niedźwiedź, za kolebką królewską ochmistrz i lekarz nadworny, dalej reszta dworu. do którego zaliczony był Bassaty, oraz znany nam już Ciemnos olbrzym, pod którego wyłączną opiekę oddano Diavola i małpkę, zwaną Bartholem.

Wyjeżdżając jednak z bramy zamkowej nikt nie wiedział, dokąd się udaje.

I gdy jedni utrzymywali, że królowa uwozi syna do Węgier, inni, że go chce pod włoskiem niebem wychować.

Ludzie zaś pobożni mówili, iż jedzie do Częstochowy, ażeby przed słynącym cudami obrazem uprosić u Matki Najświętszej opiekę nad synem przy szerzącej się w mieście na dzieci zarazie.

A mieszczki widząc wielką na saniach kolebkę, zaprzęzoną sześcioma końmi, mówiły wdychając:

— Mój Boże, matka, to zawsze matka, czy to w zwykłym czy królewskim stanie, wszystko zrobi, by jeno dziecko od złego uchronić.

— I zawiei się nie ulęknie.

— A choć do tego nie przyuczona, boć ona z takiego pono kraju, kędy śniegu nie znają.

— Gadacie oto moja acani byle co, zaś jest gdzie kraj, coby śniegu nie było — rzekła inna, milcząca dotąd.

— A juści, co jest! — odparła zagadnięta.

I poczęła się się sprzeczką, odwracając uwagę od przedmiotu, który je przy skraju ulicy Grodzkiej, przed jednym domem zgromadził.

— Zawszeć to nie pięknie, że królowa uwozi syna, a córy niebożęta, zostawia dom! — zaczęła jedna, nie wdającą się dotąd w gadwę.

I tak z jednej sprzeczki wchodziły w drugą, a tymczasem ciężka kolebka królewska wlokła się przez zasłane śniegiem ulice.

Bo chociaż to już były pierwsze dni marca, po ciepłym i nad wyraz pogodnym lutym poczęły nagle mrozy i śnieg od dni kilku sypał z wielką zaciętością.

Poczet królewski wyjechał przez Floryańską bramę, a nikt jeszcze nie wiedział, dokąd się udaje.

Wtem Bona przez zaspane śniegiem okienko w bocznej ścianie kolebki dała znak Niedźwiedziowi, żeby się przybliżył.

Chłopiec zwracający, ciągle uwagę na kolebkę, ażeby być w każdej chwili na rozkazy, podjechał zaraz.

— W ślad za wozami, które wczoraj wysłano! — rzuciła Bona.

— Ślady wszystkie zawiane — odparł Kazik, pochylając się na koniu.

Pewne zniecierpliwienie przebiegło po twarzy królowej.

— Traktem do Steżycy! — krzyknęła.

Rozkaz powtórzono.

I znów opanowało wszystkich zdziwienie.

Nie jeden nie słyszał nawet o Steżycy, lecz Bassaty, który z kilkoma ludźmi na saniach jechał przed królewską kolebką, ażeby drogę torować, świadom był wszelakich, nie tylko traktów, lecz i ścieżek ubocznych, kiwnął więc tylko głową i skierował konie.

A królewicz, którego bawiła ta droga, i dotąd szczebiotał wesoło z nielubioną przez siebie siniorą, zapytał nagle z pewnem niezadowoleniem:

— Myślałem, że do Wilna?

— W drodze będziesz miał dużo niespodzianek — odrzekła matka. — I przez rozmaite miasta będziesz przejeżdżał.

— A przez jakie? — pytał ciekawie.

— Trudno nawet je nazwać — wyręczyła swą panią siniora — jego królewska mość zobaczy wiele rzeczy, których jeszcze nie widział — tłumaczyła, w rodowitym swym języku Alenini.

— A jakie?

— Ja nie wiem, ale ciekawe — odrzekła, aby go zabawić.

(d. c. n.)

## NIEBO W MAJU.

Długość dnia w maju zwiększa się coraz bardziej: pierwszego wynosiła godzin 14 m. 53, a 31 wynosić będzie już 16 godzin 23 minuty. Pochodzi to stąd, że słońce zakreśla coraz większy łuk dzienny, podnosząc się z każdym dniem wyżej w chwili przejścia przez południk. W początkach stycznia na przykład, wysokość słońca nad poziomem w południe dochodziła zaledwie 15 stopni, w maju zaś wysokość ta wynosi od 53° do 60°.

Z planet w maju będą widoczne: Wenus, wieczorami w stronie północno-zachodniej, Jowisz i Saturn. Wieczorem dnia 22 maja, będzie można obserwować gołym okiem ciekawe zjawisko zakrycia planety Wenus przez tarczę księżyca; początek tego zjawiska, które potrwa 5 minut, przypadnie o godz. 9-ej wieczorem. Księżyc, posuwając się między gwiazdami w postaci wąskiego sierpa, zakryje planetę lewą swoją stroną, dla nas podówczas niewidzialną, przez co zdawać się będzie, że planeta znikła nagle, nie dotknąwszy tarczy księżyca.

## NOWE KSIĄŻKI

J. Chociszewski „Historia Polska,” Nakład księgarni Borkowskiego i Karpowicza.

Krótki ten podręcznik, napisany językiem przystępnym i zrozumiałym, możemy zalecić czytelnikom naszym. Zawiera on nie tylko wszystkie ważniejsze wypadki z dziejów politycznych do 1815 roku, ale też i krótkie poglądy na rozwój literatury i w ogóle cywilizacji w Polsce. Na końcu dodano opis koronacji i uwagi o rządzie, wreszcie spis królów i chronologię najważniejszych wypadków.

Legends czyli cudowne powieści z dawnych czasów, wydane przez księgarnię p. A. Rzążewskiej. Jest to zbiór dawnych podań, zawsze świeżych i rzewnych, wierszem i prozą. Książeczka ta należy do taniego wydawnictwa dla dzieci i młodzieży.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

**TREŚĆ:** Zażegnana katastrofa (z ryc.) — Powróciła, wiersz — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Kościół św. Stefana w Wiedniu (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Niebo w maju — Nowe książki. — Dodatek: Zwiastuny wiosny przez Z. B. (z ryc.) — U cioci Polci (z ryc.) — Odwet, wiersz przez H. B. — Królowa poziomek i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 22 Апрель 1898 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 16.

# WIECZORY RODZINNE

## ZWIASTUNY WIOSNY.

Kazio i Janek mają ogródek, i pracują w nim dzielnie, jak na tegich chłopców przystało. Kopią z rozmachem, aż ręce bolą od łopaty, sieją i gracują świeżo wytknięte uliczki.

Wtem zaszumiało coś w powietrzu, kle, kle, kle, — odezwał się bocian, kle, kle, kle — odpowiedziała mu bocianica, i wielkie dwa ptaki opadły na gniazdo. Samiec groźnie nastawił dziób, strasząc wróble, bo i te chciały tu sobie obrać mieszkanie. Samica układała rozrzucony chrust, zwyczajnie skrzętna gospodyni, która nim zacznie zbierać nowe zapasy, oblicza wprzód co jej z dawnych zostało.

Jakże się też chłopcy ucieszyli bocianem!



— Kle, kle, boćku, kle, kle, oj gorąco w piekle! wołał Janek, a Kazio kłaniał się czapką ptakom i aż podskakiwał z radości.

— Boćki! bociusie! — woła ciocia Mania, otwierając drzwi ganku, i młoda ciocia biegnie razem z chłopcami pod gniazdo, przypatrzeć się ulubionym ptakom.

— Wiecie chłopcy, jak nazywa lud bociana, tam gdzie ja mieszkam, na Mazowszu?

— Jak cioteczko? powiedz.

— Nazywają księdzem Wojciechem. Chcecie, opowiem wam o tem śliczną historię?

— Prosimy! prosimy! — zawołali chłopcy, skacząc około cioci, a Kazio dodał: tylko niech się ta historia zaczyna: był raz jeden król, bo takie są najciekawsze.

Ciocia uściskała siostrzeńca.

— Dobrze, tak też właśnie zacząć miałam.

Był więc raz jeden król, nazywał się Bolesław Chrobry, mało on mieszkał w swym królewskim dworcu. Gdzie tylko posłyszał, że ludziom dzieje się krzywda, biegł tam zaraz złych karać, dobrych nagradzać.

Nie wszyscy wówczas byli chrześcijanami, wielu

z nich nie słyszało nigdy o Bogu, więc źle się działo słabemu i bezbronnemu.

Takim słabym, bezbronnym człowiekiem był święty Wojciech. A pomyślcie jaki on był dobry, bo mogąc żyć spokojnie przy królu, który go bardzo poważał, prosił, by mu pozwolono iść między pogan i opowiadać im o Bogu, o umęczonym Chrystusie, o Matce Najświętszej, do której sam śliczną pieśń ułożył.

Szedł i szedł więc coraz dalej z południa na północ, tą drogą, którą do nas przylatują bociany, aż zaszedł nad morze.

Po drodze uczył ludzi miłości Bożej, uczył żyć pocciwie, więc też gdzie stanął gromadziły się tłumy słuchających jego słowa, a potem stawiano w tych miejscach kapliczki, na pamiątkę jego tu bytności.

Nad morzem mieszkał lud pogański i dziki, więc też zamiast słuchać nauki św. biskupa groził, że go zabije.

Nie uląkł się pobożny kapłan ich groźby, i dalej głosił słowo Boże. Wielu też pogan przyjęło wiarę Chrystusa.

Byli jednak między nimi tak srodzy, że ich nie przejednała dobroć Świętego. Oni to napadli na odprawiającego Mszę świętą i okrutnie włóczykami przebili.

— Zabili Świętego! — zawołał oburzony Kazio.

— A król czy ukarał ich za to, ciociu? — pytał Janek.

— Słuchajcież, co się stało. Król posłał najprzód po ciało Świętego, żeby pochować je na swojej ziemi, a tymczasem zbierał wojsko, aby ukarać Pomorzan.

Przyjeżdża poselstwo nad brzeg morski, żąda oddania zwłok Świętego, a mordercy mówią:

— Nasypcie tyle złota i srebra ile waży ciało, wtedy je oddamy.

Posłowie mieli z sobą kosztowne naczynia, drogie łańcuchy i pierścienie, rzucają je na wagę czempredziej, ale rabusie szydzą z nich, bo gdzież łańcuch lub puhar przeważyc może ciało człowieka.

Wtem nadchodzi uboga wdowa, którą Święty pocieszał miłosiernie. Choć bardzo biedna, ostatni grosik rzuca na wagę.

I wiecie co się stało? grosz ubogiego tak zaważył, że szala z ciałem poleciała do góry, a z drugiej zdjąć musiały wszystkie drogie naczynia i wszystkie klejnoty, tak, że został tylko pieniążek wdowy, wte naszale wyrównały się zupełnie. Bóg cud uczynił, żeby ukarać chciwość morderców, którzy bez okupu oddać musieli święte zwłoki męczennika.

Posłowie zawieźli je do Gniezna, gdzie do dziś leżą w srebrnej trumnie, na skrzydłach sześciu srebrnych orłów wspartej.

— A król? — pytali niecierpliwie chłopcy?

Król Pomorzan ukarał jak na to zasłużyli, ale że to był naród dzielny, choć pogański, więc pokochali Chro-

brego, nauczyli się służyć Bogu chrześcijańskiemu i sami potem stawiali kościoły świętemu Wojciechowi.

Bociany zaklekotały na gnieździe, jak gdyby chwaliły opowiadanie cioci, która tak kończyła:

— Upłynęło od tego czasu wiele lat, lud pamiętny przyjścia świętego biskupa, bociana księdzem Wojciechem zowie.

Jak bocian, przybywa z południa na północ, jak bocian zapowiada wiosnę, tak Święty niósł z sobą szczęśliwą wiadomość o Bogu miłosiernym, jak bocian wreszcie, na czarną suknię kapłańską kładł białą komżę, by chrzcić zebrane tłumy, więc czarne i białe pióra miłego ptaka przypominają biedakom świętego męczennika, który dla nich życie poświęcił.

Gdy tak ciocia opowiadała bociany tymczasem pracowały wciąż, porządkując rozrzucone gniazdo.

— Czas i nam do zajęcia — powiedziała ciocia, chłopcy chwycili za łopaty, a dobra ciocia wróciła do pokoju.

Z. B.



## ODWET.

Raz ojciec słyszał, jak Janek do siostry  
Mówił złośliwie i w sposób zbyt ostry;  
Rzecz więc: — Janku, na cóż takie słowa,  
Dla czego taka złośliwa twa mowa?  
O! to nie ładnie!

— Ach ojczu, ja tylko  
Odwet jej daję, bo właśnie przed chwilą,  
Bardzo niegrzecznie do mnie przemówiła.  
— Być może, iż to niebacznie zrobiła,  
A choć nie mogę pochwalić jej czynu,  
Jednak ty robisz wielce gorzej, synu,  
Gdyż ty z rozmysłem pragniesz widać tego,  
By jej dokuczyć. Wiedz, niema brzydszego  
Uczucia w sercu, nad zemsty pragnienie;  
Pamiętaj o tem! niech to napomnienie,  
Będzie ostatniem, synu mój jedyny.  
Wtedy Bóg tylko daruje nam winy,  
Gdy winowajcom i my odpuszczamy,  
Wszak to w pacierzu codzień powtarzamy.

H. B.



## U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Wybornie — rzekł Henryś — rozumiem teraz.

— Ptaki mają głowę małą, więc wystarczy nam jedna przedziałka, zróbcie tedy znaczek pod czwartą linijką. Za to szyja jest bardzo długa u bociana, więc zróbcie znaczek aż pód ósmą linijką, żeby oznaczyć punkt gdzie się kończy szyja a zaczyna tułów, i nazwijcie ten znaczek *a* (fig. 1). Teraz trzeba oznaczyć punkt *b*,

który będzie o cal i trzy ćwierci oddalony od górnego brzegu papieru i nieco za dziewiątą linijką (fig. 1).

— Czy możemy już zacząć rysować? — prosił niecierpliwy Henryś.

— A nie mamy ani nóg, ani ogona — zauważyła Zosia.

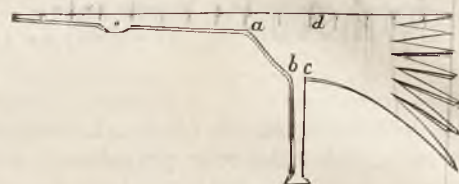


Fig. 1.

— Ażeby zrobić nogi musimy oznaczyć punkt *c* wprost *b*, a ogon będzie się zaczynał wprost trzynastej linijki (fig. 1). Nazwijmy jeszcze dziesiątą linijkę *d* i już możemy zacząć rysować.

— Nareszcie — zawołał Henryś — to będzie najzabawniejsze.

— Nie dla mnie — rzekła Zosia — ja nie umiem rysować.

— Potrafisz to zrobić — pocieszała ją ciocia. — Zrób najpierw prostą linię od brzegu papieru, aż do pierwszego znaczka; to będzie dziób.

— Potem okrągłą linię do następnego znaczka na odznaczenie głowy — podchwycił Henryś.

— Znów prostą linię aż do *a* na szyję, i krzywą linię od *a* do *b*. Dwie proste linie od *b* i *c* aż do dołu odznaczają nogi, które trzeba u dołu zrobić nieco szersze, żeby ptak mógł na nich wygodnie stać. Jeszcze jedna krzywa linia od *c* aż do dolnego rogu po prawej stronie i już rysunek gotowy, tylko jeszcze trzeba zrobić pióra w ogonie za pomocą kilku ukośnych linijek (fig. 1).

— Czy możemy teraz wyciąć?

— Tak, tylko ostrożnie, gdyż papier jest podwójnie złożony i twardy. Teraz gdyśmy już wycięli ptaka, który wcale jeszcze nie jest piękny, trzeba go rozłożyć zupełnie, położyć na stole i znów złożyć wpół, ale w tem miejscu gdzie się szyja łączy z piersią, tak, aby dziób leżał na ogonie.

— Na co to? — spytał Kazio.

— Trzeba szyję wyprostować do góry, a najlepszy na to sposób zagiąć ją. Teraz weźcie ptaka w prawą rękę i trzymajcie mocno, podczas gdy lewą nacinacie szyję

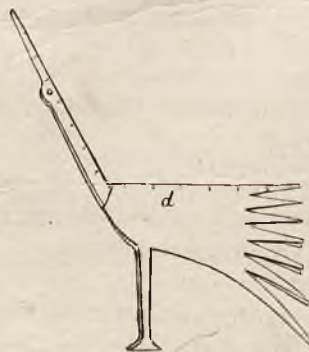


Fig. 2.



Fig. 3.

do poprzedniej pozycji, ale zarazem założcie ją nieco pod tułów, a jednocześnie złożcie znów tułów we dwoje i nadajcie szyi tę pozycję (fig. 2).

— Bardzo to pięknie zaczyna wyglądać, tylko głowa się wykręciła — zauważył Kazio.

— Zaraz to naprawimy. Weźcie dziób w lewą rękę a szyję w prawą i zegnijcie dziób na dół tak, żeby boki głowy zaszyły na szyję.

— Coraz lepiej — zawołał Kazio.

— Ale nie chce stać — rzekł Henryś, który napróżno usiłował postawić ptaka na nogi.

— Będzie stać jak go skończymy, ale musimy najpierw zrobić ogon. Załóżcie kilka górnych piór do środka tak, aby się utworzyła linia od d aż do trzeciego piórka od dołu (fig. 3). Otóż te dolne piórka utworzą skrzydła, a te środkowe ogon, na którym się będzie opierał nasz bocian.

— Teraz już zupełnie skończony — zawołała Zosia.

— Nie zupełnie, bo niema oczu; jakże trafi do jedzenia? — rzekł Henryś.

— To zróbcie mu oczy — odpowiedziała ciocia. — Dwa kółeczka ołówkiem z każdej strony głowy.

— Stoi teraz — wykrzyknął Henryś.

— I patrzy — dodała Irenka.

— Prześliczny!

— Zróbmy całą rodzinę bocianów — rzekła Zosia.

— Tatusia, mamusię, i czworo dzieci.

— Jabym wolał teraz jakie zwierzę zrobić — rzekł Henryś — jeżeli ciocia zechce nam pokazać.

— Chętnie — rzekła ciocia — teraz już wam łatwo pojdzie i nie będę potrzebowała wszystkiego wam tłómaczyć, parę wskazówek wystarczy.

(d. c. n.)

## KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

### IV.

#### Rada jastrzębia.

— Czy chcesz iść ze mną do lasu, Halinko? — spytała raz Elżbietka.

To zaproszenie było tak niezwykle, iż Halince wydało się zrazu, że źle słyszy.

Elżbietka od jakiegoś czasu stała się znacznie łagodniejszą, a od paru dni była nawet dosyć uprzejmą.

— Chętnie — odpowiedziała Halinka — dokąd pojedziemy?

— Ot, wiesz, powiem ci otwarcie; do nocy jeszcze daleko, mamy dużo czasu; powiemy mamie, że idziemy na poziomki, a naprawdę będziemy szukać Jagusi; nuż nam się uda ją znaleźć.

— Możemy iść, ale wątpię żebyśmy ją znalazły. Przecież wuj z Jankiem obeszlą ogromny kawał lasu i ciocia z nami także.

— Spróbować nie zawadzi, może kogoś spotkamy, kto nam o niej co powie, a może... czy ty wiesz, że w tym lesie są wróżki, wieszczki i różne dziwy?

— Wiem — odpowiedziała Halinka, przypominając sobie leśną Paprotkę.

— Może więc Jagusia spotkała się z jaką wieszczką, może dowiemy się co o niej od jakiego czarodziejskiego zwierzęcia.

— Chodźmy — odparła Halinka, której się to przypuszczenie wydało bardzo możliwem.

Wyszły obie z dzbanuszkami jak na poziomki i zaczęły iść bardzo prędko.

Elżbietka nagliła jeszcze.

— Idźmy dalej — mówiła — ta strona jest zanadto uczęszczana i za głośna, wróżki przebywają zwykle w samotnych miejscach. Zapuszciliśmy się w gęstwinę. Drzewa szumiały poważnie, rozmaite głosy leśne rozlegały się w oddali, słychać było szelest skrzydeł ptasich. Czasem jakiś głos słodki, a cichy zanucił piosenkę, czasem trawy i rośliny zaszeleściły, a chwilami w powietrzu rozbrzmiewały jakieś szepty i cichutkie śmiechy.

Dziewczynki nie bały się, wiedziały, że tu żadnych złych stworzeń ani nieprzyjaciół niema.

Wtem wysoko nad niemi zawisł duży, szary jastrząb, zakołysał się chwilę w powietrzu i spuścił się zwolna na pień zwałonego drzewa.

— Chodź — rzekła Halinka — usiądziemy chwilę na tem drzewie, zmęczyłam się.

Usiadły, ale jastrząb nie sfrunął, nie zdawał się wcale przestraszony sąsiedztwem dziewczynek.

— Nie odpoczywaj długo — przestrzegała Elżbietka — pamiętaj, że nie mamy czasu do stracenia.

A wtem jastrząb ozwał się ludzkim głosem:

— Gdzie się tak spieszycie, dziewczynki?

Halinka drgnęła, Elżbietka zaś odpowiedziała:

— Szukamy naszej zaginionej siostrzyczki, która tydzień temu poszła do lasu i nie wróciła.

Jastrząb nastrzępił pióra.

— Nie znajdziecie jej — odparł ostrym głosem — wpadła w niełaskę potężnej czarodziejki, stamtąd jej nie wydobędziecie.

— O, panie jastrzębiu! — zawołała Halinka — powiedz nam, kto jest ta czarodziejka i gdzie się ona znajduje?

— Na nic wam się to nie przyda choć i powiem. „Tydzień temu, wieczorem siostrzyczka wasza zabłądziła do kotlinki paproci zamieszkaną przez Poziomki-dziewczynki. Spostrzegłszy, że to są żywe istotki, wyrzekła się zamiaru obrywania im łebków, ale natomiast przysłała jej myśl złapać parę takich stworzonek, wsadzić do dzbanuszką zamiast jagód i zabrać ze sobą. Rozpoczęła więc gonitwę podczas której nadeptała i skaleczyła parę żywych poziomek. Hałas zwałił królowę, leśną Paprotkę, która niedaleko stamtąd ma swój namiot z paproci. Ta, widząc co się dzieje rozgniewała się bardzo i dziewczynkę za karę uwięziła w głębokim parowie.

Halinka zdumiała. Tydzień temu widziała się ostatni raz z Leśną Paprotką, która ją pożegnała ze zwykłą swoją uprzejmością, udając się do swego namiotu. Wiedocześnie Jagusia zabłądziła do tej kotlinki po jej odejściu i została uwięziona.

(d. c. n.)

## ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

*Pierwsze* jest w morzu, ale nie w stawie,  
*Drugie* w nauce, również w zabawie,  
*Trzecie* w butelce, a nigdy w słoju,  
*Czwarte* jest w sieni, a nie w pokoju,  
*Piąte* jest w bajce, lecz nie w piosence,  
*Szóste* w kieszeni i to w sukience,  
*Siódme* w obłoku, ale nie w chmurze  
 A jest okrągłe — małe czy duże,  
*Wszystko* — nazwisko wielkiego malarza,  
 Z uznaniem każdy z nas je powtarza.

## ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożyli Heliotrop i Jaśmin.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	Zastąpić liczby i krop-
2	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	ki literami, aby litery ozna-
3	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	czone liczbami, złożyły imię
4	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	i nazwisko znakomitego mówcy
5	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	ziotego wieku. Wiersz 2 Gród pa-
6	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	miętny zjazdem w r. 1343. 3) Bohater
7	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	z wojny Trojańskiej. 4) Król Ostrogotów.
8	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	5) Założyciel wielkiego miasta w staroż. 6)
9	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	Bożek czeski. 7) Szkielet polipa. 8) Imię żeńskie.
10	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	Miejscowość biblijna. 10) Zaimek osobowy 4 przyp.
11	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	licz. pojed. 11) Samogłóska.

## KWADRAT MAGICZNY.

przez Puszczyka z Pilawy.

a	a	a	b	Spójnik.
b	d	l	l	Miasto nad rzeką Pełtwią.
n	o	o	o	Królowa koronowana w r. 1548.
o	w	w	w	Zwierzę z gromady stawowatych.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 18.

### Meta gramu:

Fara — Kara — Mara — Para — Sara — Zara — Ara.

### Łamigłównki literowej:

P
m a k
k o r e a
k r z y ż a k
K r z y ż o p o l

### Niteczki aryadny:

Żal mi jeno tej łąki,  
 Gdzie fijołki i dzwonki;  
 Żal mi słońca w zachodzie,  
 Kiedy świeci na wodzie,  
 I fujarki wierzbowej  
 Z nad zielonej dąbrowy.

T. L.

## Skrzynka do listów.

Żądany numer Wieczorów dla Janinki M. posłano. Staramy się zawsze by czytelnicy nasi obok zajmujących powieści mieli też i podróże. Po ukończeniu drukującego się obecnie *Jurasia i Anulki*, rozpoczniemy inną, bardzo zajmującą i ozdobioną ilustracjami. Gołąbek Bożenny nie był pisany przez Z. Rudnicką; inną ciekawą powieść tej autorki redakcyja ma już przygotowaną do druku.

Ej **Wesoła** (dodać muszę figlarko), bo żartem tylko mogłaś napisać, że zasną nad twoim listem, i żartem nazwałaś go „spóźnionem, wielkopostnem umartwieniem.” Tak jednego jak drugiego do starannie zapisanej żółtej ćwiartki, zastosować nie mogę, bo liścik twój bardzo mi był przyjemny i zajmujący. „Dzieci Warszawy” Z. Bukowieckiej, czytałam z równem jak i ty zajęciem. Żalowałam bardzo twego braciszka, że mu tak Święta smutno przeszły, ale dzięki Bogu, że już do zdrowia wrócił. A teraz, ponieważ zapewne nie długo już zaczniesz egzamina, życzę ci serdecznie byś otrzymała nagrodę, której chcesz się rzec gwoili zadowolenia brzydkiego *leniuszka*.

Podzielałam całem sercem twój smutek **Sandomierska Pszeniczko**, ale mam nadzieję, że choroba twojej siostrzyczki przejdzie szczęśliwie i prędko, proszę cię też bardzo, byś doniosła jak się miewa, czy już zaczyna powracać do zdrowia?

Cesarzowa niemiecka, Wiktorya-Augusta, jest z domu księżniczką Sonderburg-Augustenburg, imiona jej sióstr znaleźć można w almanachu gotajskim, którego obecnie nie mam pod ręką. Łamigłównkę oddałam redakcyi.

Rybitwę z nad Wisły witam dzisiaj po raz pierwszy w gro-nie mych korespondentek, ciesząc się, że ją moje odpowiedzi skłoniły do napisania tego liściku. Kaligrafia twoja bynajmniej tak złą mi się nie wydaje i spodziewam się, że jeżeli nie na nagrodę, to przynajmniej zasłużysz na pochwałę. W imieniu biednego dziecka, któreś sukienką własnoręcznie uszytą okryła, przesyłamy ci serdeczne „Bóg zapłać!”

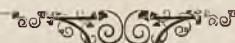
Nie rozumiem doprawdy jakim sposobem list twój **Niezabudko**, pisany jeszcze przed Świętami, teraz dopiero dostałam; może być, że przy tak licznej korespondencji, jaką odbieramy, zaszła jakaś niedokładność, w każdym razie dziękuję ci za panię i przepraszam za spóźnioną odpowiedź. Łamigłównki złożyłam w Redakcyi, dawniejsze czekają zapewne swojej kolei. Obiecanego długiego listu oczekiwać będę.

**Amatorowi ptaków** zawsze z przyjemnością odpisywać będę, jeżeli dłuższym listem zechce mnie obdarzyć, bo z kilku słów trudno rozpoznać twój wiek i usposobienie, więc i sama dłuższej odpowiedzi dać nie mogę. Łamigłównki osądzi w Redakcyi, czy będą mogły być drukowane.

Dobre rozwiązania zadań przysłali: **Ulan P.**, **Stoń z Nubii** wraz z łamigłównkami własnego układu i **Różowa Stokrotka**, która pragnie obszernej odpowiedzi, ale sama nie nie pisze, na cóż więc mam odpisywać?

Całem sercem współczuję z tobą droga **Turkawko**, ale Pan Bóg który zesłał na ciebie tę chorobę, da ci też siły byś smutne jej następstwa znosiła cierpliwie i pocieszyć cię zechce. Znam wiele panienek dotkniętych tem cierpieniem, którego jednak na szczęście kalectwem nazwać nie można, bo nietylko, że nie przeszkadza w chodzeniu, ale pozwala nawet nieraz na bieganie i taniec. Łamigłównkę twoją złożyłam w redakcyi. Rozwiązania dobre. Spodziewam się, że braciszek twój **Czarny sokół** nadesłał też na konkurs próbę swego pisma.

Jaskółka.



**Sprostowanie.** W numerze 19-ym w odpowiedzi o prochu Puszczykowi z Pilawy wydrukowano mylnie wiek XVII zamiast XIII.